

# Wierność i lojalność

**W**IELU AUTORÓW ALARMUJE: Kościół jest coraz bardziej podzielony. Nie odczuwamy tego tak mocno w Polsce, lecz trudno zapewnić, że przed takim problemem niedługo nie staniemy także i my. Z coraz większą aktualnością staje przed nami problem: jak odróżnić różnorodność od rozłamu, a pluralizm katolicki od rozkładu? Dla tych, którzy cieszą się każdą wielością i każdą różnicą, problem ten nie istnieje. Dla tych, którzy rozumieją wartość jedności katolickiej, ta kwestia staje się sprawą żywotnie ważną.

Nie mówimy tu o teologicznej definicji jedności Kościoła, lecz o jej konsekwencji moralnej w życiu jego wiernych – o wspólnocie przywiązania do katolickich prawd i dóbr. Każde przywiązanie, które można by opisać czcigodnym łacińskim słowem *pietas*, obejmuje dwa składniki: wierność i lojalność. W zestawieniu tych dwóch wierność jest jakby tym bardziej *duchowym* składnikiem przywiązania, odnosi się do prawdy, przekraczającej nasz świat, po Bożemu niezależnej od ziemskich niżów czy wyżów, bessy lub hossy. W przywiązaniu katolickim wierność jest kotwicą w wieczności, niezależniącą od przesądów epok, zwyczajów „tego świata”, dającą tę wolność, którą mają wyraźnie męczennicy i wyznawcy, gdy kusielece przedstawiają im rozmaite racje dla zdrady, gwałtownej lub zgoła niezauważalnej, stopniowej adaptacji, „znalezienia sobie miejsca w nowej sytuacji” itp. Wierność katolicka przypomina, że nie z tego świata jesteśmy (choć w tym świecie), że nie tu jest nasza trwała ojczyzna. Wierność ta wymaga świadomego wyboru, niekiedy pod prąd. Bywa dramatyczną frondą, wyjściem z własnego miasta, odejściem poza obóz, czasem nawet „posiadaniem w nienawiści” osób, do których naturalnie lgnęlibyśmy jak do najbliższych na ziemi.

Składnik wyostrowionej wierności – którą nazywa się zwykle radykalizmem – jest widoczny w dziejach Kościoła w każdym odruchu odbudowy, odnowy, reformy katolickiej, kontrreformacji, *wiosny Kościoła* czy nowej ewangelizacji. Bezkompromisowa, radykalna wierność prawdzie – nieraz wyglądająca na tle śpiących rycerzy bardzo wojowniczo, wręcz „za ostro” – daje kolejnej grupie ludzi siłę, aby wyrwać się z zastawianych na każdy wiek diabelskich „siდეł myśliwego”. Przychodzi więc co jakiś czas – jak to mówiła kiedyś s. Małgorzata Borkowska OSB opisując odnowę potrydencką – „nowe pokolenie niesłuchanie gorliwe i konsekwentne”<sup>1</sup>. Takie eksplozje wierności bywały z reguły tak zaskakujące dla duszpasterskich planistów, jak „nieplanowana cięŜa” bywa traumatycznym zaskoczeniem dla postępowych małżonków: jedni potrafili w tym doświadczeniu odkryć jakiś palec BoŜy, a druzgi wciãŜ nachodzą pokusy aborcyjne względem darów, które dla ludzi zakochanych w swych myślach przychodzą zawsze „nie w porę”. Niestety niebezpieczeństwo tkwi takŜe po stronie owych „grup wiernościowych” – mnóstwo z nich skarłało w sekty lub zgoła zamarło: staroŜytni montaniści, średniowieczni spirytuałowicze franciszkańscy, nowoŜytni janseniści, współcześni mariawici... w swych początkach byli jedną z takich nadziei na większą wierność; ale były to nadzieje, które zawiodły. Czegoś waŜnego zabrakło, mimo szczerej szlachetności protagonistów tych ruchów.

Sama wierność nie wystarczy. W prawdziwie twórczej *pietas* współczynnikiem wierności jest lojalność. Ta zaś jest z kolei składnikiem jakby bardziej *naturalnym* – odnosi się do tego, co przypada nam na tym świecie wraz z narodzinami i co jest „nasze” zanim to wybraliśmy. Nie wybiera się rodziny czy ojczyzny, jej przeszłości i ukształtowanej przez nią specyficznej fizjonomii – to „spada” na nas jako dziedzictwo, w które przez lata, choćby bezwiednie, wchodzimy i w którym pewnego dnia mamy być, jak dziedzicze, namaszczeni. Oto naturalny bieg rzeczy i zawarty w nim pierwszy, nie wydumany sprawdzian ludzkiej prawości: czy będąc zdolny do dziedziczenia, pozostanie lojalny wobec tych, którym ŷycie zawdzięcza i wśród których ŷyje, jako część społecznej całości. Czy poradzi sobie z lojalnością względem własnego wcielenia i wrośnięcia w konkretną rodzinę, ojczyznę, cywilizację... – choć nie sposób sobie wyobrazić, by te całości były ŷłożone wyłączenie z aniołów lub choćby (!) ze świętych, by ŷyły na co dzień i wciãŜ intensywnościã ideałów zarysowanych przez wierność, by w końcu w ich ludzkim porządku mądrość zwycięŜała przynajmniej tylekroć, co tępota, a twórcza energia przynajmniej pokrywała straty wynikłe z bierności i rozrzutnego gestu.

To równieŜ dotyczy Kościoła, skoro jest on społecznością, w którą się wraŷta, ale w której większość z nas rodzi się jeszcze przed swoim własnym

chrztem, jako dziecko chrześcijańskiej rodziny. Związek z Kościołem to oczywiście inkorporacja w mistyczne ciało Chrystusa. Ciało to jest mistyczne między innymi w tym sensie, że jego istotna świętość ukrywa się i tajemniczo działa w płataninie ludzkich charakterów, nierównych umysłów i skomplikowanych moralności. Kościół jest społecznością opartą na osobistym wyborze wiary („czego żądasz od Kościoła?”), lecz wbrew marzeniom swych skrajniejszych radykałów „wiernościowych” nigdy nie chciał się ograniczyć do tych, którzy owego wyboru są najbardziej świadomi i nim konsekwentnie żyją. Kościół nie stał się angelizującą sektą, jest na to, by ciągnąć w sobie ku niebu tabuny ludzi opornych, mało rozgarniętych, pobłażliwych względem swych żądz i średnio zainteresowanych. Rzadko tych „zjadaczy chleba w aniołów przerabia” – choć bardzo często zdarza się mu wyhodować właśnie wśród nich świętych, przodowników wierności. Ta ludzka rzeczywistość Kościoła sięga w dół – i w górę. Polega nie tylko na tym, że ktoś nie zrozumiał, nie dosłyszał, obraził się lub niesłusznie ukarał – ale i na tym, że ktoś nie rozumie nadal, nie słyszy latami, obrażony patrzy z góry swego autorytetu, podtrzymuje swe niesprawiedliwe wyroki, które naprawdę bolą. Gdy głęboko niesłuszne – i potem odwołane – potępienie spadło na pewną wiernościową grupę katolików w połowie lat 20. ubiegłego wieku, ich mądry kapelan, o. Humbert Clerissac OP ukuł powtarzane powiedzenie: „Trzeba nauczyć się cierpieć dla Kościoła – i przez Kościół”. Nie zawsze jest aż tak trudno. Zawsze jednak nie wolno pozwolić sobie na to, by wierność, sięgająca w swym dążeniu wieczności, wybrała sobie ścieżki faktycznie sprzeczne z lojalnością względem konkretnej społeczności zbawienia.

Tak więc wierność każe odrywać wzrok od ludzkich *układów* i kierować go „ku temu, co w górze” – a w tym samym czasie lojalność każe wracać z tym uzdrowionym spojrzeniem do *naszych spraw*. Wierność poddaje nasz konkretny świat sprawdzianowi uniwersalnych prawd – a równocześnie lojalność przypomina, że chodzi nie o to, by ten surowy sprawdzian świat potępił, lecz aby go uzdrawiał i zbawiał. Wierność rodzi w sercach jednostek gorąco zapалу, który sforsuje zapory małości – a równocześnie społeczna lojalność każe szybkość swoich kroków dostosowywać do możliwości tych, wobec których mamy obowiązki. Z wierności powstaje energia nawrócenia, ale to lojalność daje siłę wytrwania w konkretach. Jak widać, jedno drugiego potrzebuje, jedno bez drugiego przekształca się w chorobliwą wadę, jedną z *oszałałych cnót*. Przywiązanie zakłada więc wierność połączoną z lojalnością.

W postawie katolickiej wierność i lojalność tworzą granicę katolickości. Między tymi kresami jest całkiem sporo miejsca, gdyż właściwy cencie „złoty środek” rzadko bywa punktem, częściej jest przestrzenią między skrajnymi wadami. Także więc w postawie różnych grup ortodoksyjnie katolickich za-

uważamy stopniowanie. Jedne z nich są bardziej lojalnościowe, nie tracąc wierności – inne wybijają się wiernością, lecz lojalność też rzetelnie zachowują. Są też grupy „pograniczne”, z których wiernością lub lojalnością są problemy. To wszystko daje razem bogaty, ciekawy świat, nie pozbawiony ryzyka właściwego życiu jako takiemu. Abstrakcyjna wierność – przeciwstawiona de facto zdrowym lojalnościom – daje fundamentalizm, przybliżający się coraz bardziej do sekciarskiej ekscentryczności; zaś lojalność, która nie dba o wierność prawdzie, roztapia się w leniwym fatalizmie, gotowym do kapitulacji przed „duchem czasu” i innymi podejrzanymi duchami. Oto Scylla i Charybda – ale pole ortodoksji między nimi jest jednak dość szerokie, by zmieścić i zharmonizować wiele elementów, które poza ortodoksją i Kościołem stają się sobie wrogie.

Oczywiście na tej mapie są także katolicy tacy jak my – wyróżniani określeniem: tradycjoniści. W krainie katolickiej ortodoksji jest to na pewno grupa o dominancie wiernościowej, poddanej w obecnych warunkach życia kościelnego dość ciężkiej próbie lojalności. Ale jaka to wierność i o jaką lojalność by chodziło? Być może niezwykle – na tle wielu innych „eksperymentów wierności” w dziejach Kościoła – jest to, że wierność tradycjonalistów wyraża się w przywiązaniu do konkretów tradycji: liturgii, duchowości, doktryny, dyscypliny. Jest to wierność od samego początku wcielona w konkretne dziedzictwo Kościoła rzymskiego, odsunięte na bok przez *kreatywne reformy* posoborowe. W tym sensie nie jest to wierność abstrakcyjna – owszem, jeśli dotyczy ona wiecznych prawd spoza tego świata, to za pośrednictwem jej wieczystych form o niepamiętnych początkach, osteplowanych pobożnością każdego minionego wieku. Jeśli lojalność jest dla tradycjonalistów wyzwaniem, to – pomijając kłopoty powszechnie ludzkie, nie omijające żadnej grupy – dlatego, że na terenie kościelnym, w dziejącym się tam kontakcie struktur i osób, zdarza się definiować lojalność nie tyle jako zakorzenienie w przeciętnej normalności, lecz jako manifestowanie akceptacji dla wszystkiego, co łączy się z impresjonistycznie odmalowaną „odnową posoborową”. Rzadko jesteśmy pytani o obiektywne i trwałe wyznaczniki naszej więzi kościelnej – częściej natomiast wyczuwamy podejrzenie, że brak nam entuzjazmu dla „priorytetów posoborowych”. Oczywiście zarówno oczekiwany poziom entuzjazmu, jak i doprecyzowanie owych priorytetów są w znacznym stopniu poddane subiektywnemu odczuciu interpretatora. Paradoks polega właśnie na tym, że ewidentne zakorzenienie grup tradycjonalistycznych w nagromadzonym przez wieki wiary konkretnym dziedzictwie Kościoła, unoszącym w sobie niekwestionowalny kapitał ortodoksji i świętości, oznacza dla wielu „wykorzenienie” z kościelnego *mainstream*'u, zdefiniowanego w oparciu o stosunek do słynnego, amorficznego „ducha Soboru”. Z tego wynika też sposób formułowania zastrzeżeń wobec

nas i ich typ – niemal nigdy nie mają one charakteru otwartej, rzeczowej polemiki, albo autorytatywnego „wytknięcia błędu” tu lub tam, w oparciu o pewniki katolickie. Zazwyczaj jest to polityka odrzucenia i izolacji, realizowana przez szept i aluzje, ogólne „mam odczucie” lub „nie podoba mi się”, bądź przez bolesne, dotkliwe ciosy-decyzje, których autorzy nie muszą i nie chcą nawet wyjaśniać, czemu np. odmawiają rodzicom zgody na chrzest ich kolejnego dziecka w rycie, w którym sami zostali ochrzczeni. Tego typu zachowania odbijają w sposób jaskrawy od deklarowanych wszędzie hasel otwartości, dialogu, „katolickości to znaczy powszechności” itp. Krótko mówiąc, hasła te błędną, gdy przychodzi do konkretów na własnym podwórku.

To oczywiście jedna, ciemna strona życia środowisk tradycyjnych, która nie przekreśla strony drugiej: spokojnego uczestniczenia, tu czy tam, nieraz daleko od domu, w darowanej przez Kościół liturgii klasycznej, doświadczenia rosnącej życzliwości ze strony biskupów i księży, coraz normalniejszych stosunków z innymi środowiskami katolickimi, wspólnej z nimi pracy na rzecz konkretnych spraw ważnych dla życia chrześcijańskiego, radości dzielenia się z innymi doświadczeniem swojej drogi duchowej. Podejmując swoją drogę, nie chcieliśmy się zamknąć w sobie, odizolować. Chcemy po prostu żyć własnym życiem, którego najlepsze owoce Pan Bóg i tak będzie rozdzielał wraz z innymi po całym Ciele mistycznym, wedle *świętych obcowania*. Dalecy od bycia elitarnym korpusem „doskonałych”, chcemy rosnąć dla Kościoła rządzonego przez Papieża, dawać mu swe siły, wychowywać dla niego nasze dzieci – a to wszystko w tradycji, którą Kościół pobłogosławił i kanonizował, nigdy nie zamykając jej historii żadnym swoim oficjalnym aktem. W dziesięciolecie papieskiego motu proprio *Ecclesia Dei* autor opisujący sytuację tradycjonalistów w *ojczyźnie Papieża* pisał: „Parafrazując Tertuliana, można by dziś powiedzieć, że jesteśmy obecni wszędzie: w polityce, w mediach, w szpitalach, w szkołach, na uniwersytetach, w ekonomii – wszędzie pracujemy w odpowiedzi na apel Papieża, by odbudowywać katolicką cywilizację życia i miłości”<sup>2</sup>. Te formy obecności nie są dla nas rozdzielne ze „źródłem i szczytem” naszego życia chrześcijańskiego, czyli z liturgią tradycyjną i jej duchowym środowiskiem.

Paweł Milcarek  
redaktor naczelny *Christianitas*

<sup>1</sup> *Dzieci Soboru zadają pytania*, Warszawa 1996, 175.

<sup>2</sup> Marek Jurek, *Ecclesia Dei au pays du pape*, w: *Enquête sur la messe traditionnelle*, 1988, 229-230.